77730
RARA P
77730 I b
51.23/II/65

KRAKÓW.
1890.
NAKŁADEM KSIĘGARNI K. BARTOSZEWICZA.

DO STAREGO POKOLENIA

„Oto są grzechy
naszego żywota".

Drukiem A. Koziańskiego
w Krakowie.

0012 17 175

UNIV. JAGELL.

Mówicie nieraz, a odcień zawodu
I chęć wyrzutu zdradza słów tych brzmienie:
„O! my nie tacy byliśmy za młodu,
Jak jest dzisiejsze młode pokolenie.
Dzisiejsza młodzież—toż to starców grono,
Co w wiosnie życia, w tej najlepszej chwili,
Kroczy ponuro, z głową pochyloną,
I brak im tylko, (by starcami byli),
Zmarszczków na twarzy, na głowie siwizny!
Kto w nich przygasił tę miłość ojczyzny,
Co w naszych czasach płonęła tak jasno,
Żeśmy składali na jej ołtarz krwawy,
Osoby, mienie i swobodę własną?
Kto w nich wyziębił ową żądzę sławy,
I wiarę w przyszłość, i tę pewność siebie,
Co nas w młodości parła na wyżyny,
By ścigać gwiazdy promienne na niebie,
I bohaterskie zdobywać wawrzyny,
Goniąc sny złote i wzniosłe mamidła!
Kto im zapału podciął lotne skrzydła,
Pozbawił szczytnych mrzonek, ideałów,
Junackich rzutów, porywów i szałów,
I nawet zwykłych młodym latom grzechów?
Kto w nich przytłumił dźwięki szczerych śmiechów
Co z ust młodzieży, z wesołym hałasem
Tryskały w koło, jakby promień złoty?
Kto zdarł z nich pióra dziecinnej pustoty?
Szyderstwa, gorycz wpoił w nich przedczasem.
Przedczasem wcisnął przesytu obroże?
Kto ich pogrążył w czarne zwątpień morze,
I zmroził lodem tak obojętności,
Że w wiosnie życia, na wstępie młodości,
Stoją posępni jacyś, zimni, biali.

Bez krwi i ciepła, bez żądz i uniesień.
Dzisiejsza młodzież—tożto chmurna jesień,
Miast jasnej wiosny, którą myśmy znali. —
To owoc dziwny, przedczasem przejrzały
Którego wnętrze toczy rdza ukryta.
Kwiat, co nim z pączka wychylił się cały
I wszystkie barwy zgarnął—już przekwita.
Dzisiejsza młodzież smutnym żartem losu
Rozczarowanie zna wpierw, niż złudzenia,
Nieufność w szczęście, wprzód od doświadczenia,
A zniechęcenie wpierw, niźli pragnienia.
Ledwie się zdoła wydobyć z chaosu
Pierwotnych pojęć i dziecinnych wrażeń,
Wnet z płonącego życiowego stosu
Chwyta—nie płomień jasnych dum i marzeń,
Lecz czarne głownie i szare popioły. —
I kroczy chmurna, jakby starców rzesza,
Co z pustką w sercach, z spuszczonemi czoły
Za pogrzebowym orszakiem pospiesza,
I do cmentarnej bramy się przybliża,
Nie jak gromada młodych, dzielna, chyża,
Która z miłością i nadzieją w sercu,
Na ślubnym z życiem stanąć ma kobiercu."

* * *

Ale nie mówcie tak, bo słowa wasze
Bolesnem w sercach młodych dźwięczą echem,
Że niepojętem dla was życie nasze,
Choć nie pojmować nas jest dla was grzechem.
Czemu z was żaden w głąb naszego ducha
Nie wniknie, bicia serc tych nie podsłucha,
Tych serc znękanych biednej polskiej młodzi,
W które pocisków tyle zewsząd godzi,
A którym nawet brak kropli swobody
Jaką z was każdy miał, kiedy był młody.
Wyście wzrastali, gdy słońce wolności
Chociaż już zaszło, lecz zorzą zachodnią
Rzucało jeszcze wielki smug światłości,
Co był pociechą, nadziei pochodnią,
I wolno było wierzyć wam za młodu,
Że doczekacie się nowego wschodu.
A nas noc czarna chwyciła w swe pęta,
Noc czarna, głucha, bez światła żadnego,
Bez gwiazdy żadnej, i w nas niemowlęta
Wpiła swe szpony do szpiku samego.
W kołysce jeszcze budził nas płacz matek,
Łoskot pożarów, kos i szabel brzęki,

I ojców straszny głos, co sił ostatek
Wydobywali, żeby stłumić jęki
Gdy z wszystkiem swojem brali pożegnanie.
Na śmierć wychodząc, albo na wygnanie!
Chcecie wy wiedzieć, dzisiejszej młodzieży
Pierwsze wspomnienie, co w pamięci leży,
To pierwsze mgliste, dziecinne wspomnienie
Co się w umyśle jak przez sen majaczy?
Izba kamienna, szara... to więzienie.
Wewnątrz cień jakiś miga... co to znaczy?
To ojciec! pragnie rozwalić więzienie.
Patrzcie! jak bije w szalonej rozpaczy
Pięściami, głową, piersią o kamienie,
Uderza w ściany, chce by pękły ściany,
Lecz ściany stoją, tylko głowa pęka...
Tam znowu postać jakiejś zapłakanej
Kobiety, łamie ręce, płacze, klęka...
To matka! ona modli się do Boga,
Modli się głośno, lecz za tym łoskotem
Ach! czy jej modlitw jęk dochodzi Boga!...
To pierwsze nasze wspomnienie. A potem?
Potem zaległa wszystko ciemność sroga,
Ciemność i cisza, jak na dnie mogiły.
Ściany więzienia zwolna się zbliżyły,
Że ledwie wewnątrz im powietrza stało,
I jęły tłoczyć nasze młode ciało.
Dusiły gardło, by wydusić mowę,
Cisnęły serce, by wycisnąć wiarę,
I tak kleszczami spięły naszą głowę
Jakby z niej myśli chciały wziąć w ofiarę;
I w takiej celi wzrastać nam kazano,
Rozwijać umysł, co się ledwie budzi,
Być zdrowym, rzeźkim, wyglądać rumiano,
Uczyć się, mężnieć, wychodzić na ludzi
I myślą śmiałą, lecz wierno-poddaną
(O! bo inaczej myśl się darmo trudzi!)
Rozpuszczać wodze młodzieńczym zapałom
I palić świeczki szczęścia ideałom.
Powiedzcie sami, czy to się wam żalić,
Że się tym świeczkom jakoś nie chce palić?

* * *

A potem przyszła szkoła: piękne słowo —
Szkoła — o! szkołą była nam surową. —
Kołem obsiedli nas, jak czarne kruki,
Ci fałszowanej adepci nauki,

Ci mistrze, którzy przybyli tu — po co?
By nas nauczyć czego? O broń Boże!
By resztki światła zagasić przemocą,
By nas powalić na Prokrusta łoże,
I gdzieś zatopić — w zapomnienia fali
To, cośmy z mlekiem matczynem wyssali!
Jeszcze z nich każdy lisią zwrotkę nuci:
„O! wszak to dowód jest najwyższej łaski,
„Że ci młodzieńcy, tak rdzennie popsuci
„Co jednak w rządzie tyle troski niecą,
„Z przybytków wiedzy mogą czerpać blaski...“
Pod ciągłą groźbą, że za drzwi wylecą,
Jeśli ich czasem nie olśnią te blaski!
O! niech te blaski wam wieczyście świecą,
Mistrze! nad szkołą waszą, tem straszydłem,
W którem nam dzieciom, jak po słupie z mydłem
Trzeba się drapać, opadać, podnosić,
Pochlebiać, kłamać, przekupywać, prosić.
A po tem wszystkiem, straciwszy lat tyle
I tyle pracy, dostać w wieku sile,
Zwitek papieru z tuzinem pieczątek,
Świadczących o tem, że przez lat dziesiątek
Jego właściciel zrobił cud prawdziwy:
Bo najprzód szkoły zdołał skończyć żywy,
Przytem się uczył i dobrze prowadził,
To jest, że słówkiem najmniejszem nie zdradził
Ani swej myśli, ani swojej mowy,
Lecz połknął tylko stos wiedzy książkowej
Którego mistrze nie znają połowy!

Lecz cicho! cicho! to patent rządowy,
Co z dziecka męża robi dojrzałego,
Który stanowi dziś jedyną zbroję,
Z jaką nam wstąpić można w życia boje,
Bo wszak już żadnej nie mamy, prócz niego.
Więc na słup dzieci, dalej suszcie głowy,
By choć ten oręż zdobyć papierowy.

I wy pytacie jeszcze z zadziwieniem,
Skąd się spotyka u nas ze zwątpieniem,
I z nieufnością, z przedwczesną niewiarą,
W ludzi i myśli i czyny i rzeczy,
Jaka nawiedza tylko głowę starą,
Co się nurzała już w życiowej cieczy?
Skąd? — ależ patrzcie! Co te szkolne żaki
Te biedne, młode, niewinne chłopaki

Poczynać mają, by ciężko nie zbłądzić,
W obec kłamstw tylu, błudy potwarzy,
Które im co dnia mistrze kładą w głowy,
W obec przymusu obcej, wrogiej mowy,
Sprzeczności między myślami a słowy,
Że muszą ciągle stać na słów swych straży,
I że komedyą straszną pokryjomu
Odgrywać muszą każdą dzienną chwilką,
Bo dla nich jednych w świecie — czarne w domu
Jest białem w szkole: ach! i dla nich tylko,
Dla nich zdarzeniem dziwnem, niepojętem,
Rano przeklętem jest, co w wieczór świętem!

I wy nam jeszcze stawiacie pytanie
Skąd u młodzieży to rozczarowanie?
To zniechęcenie i ten brak zapału
Do wielkich czynów, idei wspaniałych?
Kiedy nas gwałtem, jeszcze dzieci małych,
Los zmusza ręką dotykać się kału,
Pacholęcem spostrzegać oczyma,
Że już słuszności na tym świecie niema;
Gdy ci, co mają dawać jej przykłady,
Sami najświętsze niweczą zasady;
Gdyśmy od dziecka przykuci do pługa
Nieocenionej sprawiedliwie pracy,
Próżnych, daremnych trudów, gdzie zasługa
Ani uznania niema, ani płacy!
I kiedy wiemy, że za szkolną bramą
Na życia scenie dzieje się to samo!

* * *

To samo? gdzież tam! stokroć gorzej jeszcze,
Gdy się rozszczepią wreszcie szkoły kleszcze
I na bój z życiem opuścim jej progi,
Jakież otwarte są przed nami drogi?
W szkole przynajmniej obowiązek, który
Na barki nasze dziecinne włożono,
Mogliśmy spełniać — żnć te nauk wióry,
Uczyć się gdy nam: „uczcie się! mówiono!
Lecz później, później gdy na scenę życia,
Wystąpi młodzian z szkolnego ukrycia,
Gdy społeczeństwa zwrócą się nań oczy,
Gdy w nim do czynów rwie się duch ochoczy,
Gdy niecierpliwie liczy każdą chwilę,
Aby o własnej wreszcie stanąć sile,
By sobie inne zdobyć stanowisko.

Żeby na święte ojczyzny ognisko.
Dorzucić także swoją wiązkę drzewa,
Kiedy mu w sercu, głowie, gra i śpiewa
Ta wiecznie świeża, wielka pieśń młodości
Ta pieśń potężna, wzniosła, czasem dzika
Co po wsze czasy aż do szpiku kości
Każdą pierś młodą choć chwilę przenika,
Ta pieśń wspaniała o szczęściu ludzkości
O bractwie ludów, wolności, miłości!...
Ach! czy wy wiecie, co się w sercu dzieje,
Gdy młodzian wszedłszy na życia koleje,
Spostrzega nagle, że jego nadzieje
O przyszłych czynach i o przyszłych losach
Jeśli się spełnią — to chyba w niebiosach;
Że tu niewolno nawet szczęścia zażyć,
Skromnego szczęścia, żeby o nich marzyć.
Bo tu on zawsze jak owoc zatruty,
Z wszystkich najświętszych praw ludzkich wyzuty
Przed nim zaparte wielkich czynów zdroje
Zamknięte pracy powszedniej podwoje.
I nawet lichych trudów marne znoje...

Chyba, że zechce w stepy iść, lub puszcze,
Iść gdzie skazańców dzikie wyją tłuszcze,
Gdy mróz i pustka krew mu lodem ścina,
Gdzie się o wszystkiem swojem zapomina,
Gdzie trzeba szukać nowych, obcych bogów,
Żyć i pracować śród wrogów dla wrogów,
Gdzie go tak wyżre rdza, zczerni gnilizna,
Że go już matka rodzona nie przyzna...

A jeśli, jeśli na ojczystej ziemi,
Do jakiej taczki przykuć się pozwolą,
Że pozostanie nadal między swemi
I swoją dolę złączy z kraju dolą,
Ach! czy wy wiecie, czem jest taka taczka?
Wiecie! wy także ciągnąć ją musicie.
Tych z was, dla których los zostawił życie,
Ni rozpędziła po świecie tułaczka.
Także do strasznej taczki tej przykuto,
Lecz dla was ona karą jest, pokutą,
Za jedną chwilę nadziei szalonej,
Za jedną chwilę szalonej rozkoszy,
Gdyście się nagle jak tur powalony,
Co psiarni zgraję niespodzianie płoszy,
Zerwali z ziemi i gwałtownym ruchem
Wstrząsnęli więzów żelaznych łańcuchem.

I zawołali głośno: — precz z niewolą!
Po takiej chwili, nieszczęścia mniej bolą.
Lecz my tej gorzkiej pociechy nie znamy.
Bo czyż my za co pokutować mamy?
Nie! my jedynie mocą urodzenia,
Pierworodnego grzechu, bez wspomnienia
Żadnego, żadnej pokuty lub skruchy,
Musim na zimno, spokojnie w łańcuchy,
Iść niewolniczej pracy, i odrazu
Pod strasznem jarzmem pełznąć nakształt płazu,
Co gdzieś śród mroków wiecznej nocy kroczy.
Ściskany ziemią, co go zewsząd tłoczy.
Ach! bo ta praca na ojczystej niwie
Czyż nie torturą istną jest prawdziwie.
Ach! czy to nie jest praca Syzyfowa,
Od której serce pęka, pęka głowa.
Bo wszędzie w każdem miejscu, w każdej stronie
Na miejskim bruku, czy wiejskim zagonie
Prócz ogólnego niewoli łańcucha,
Co ciało więzi i krępuje ducha,
Co na tak ciężkiej walki o byt brzemię,
Zwala nam jeszcze całe wrogów plemię,
I co nam każe, wszystko tłumić w sobie,
Każdy jęk, skargę zamykać jak w grobie —
Jest jeszcze drobnych szpilek sieć, co kłuje,
Co każdą chwilę pracy naszej truje.
Sieć to nieznośna, jak tkanka pajęcza,
Jak włosiennica szczelnie nas obsiada.
I w każdą chwilę, w myśl się każdą wkrada
I ciągle drażni i ciągle udręcza.

Sieć to ohydna — ciągłego szpiegostwa,
Niegodnych pokus, podłości, łotrostwa,
Praw wyjątkowych — zakazów, ukazów,
Które spadają na nas nakształt razów,
Zmuszają drogi nieczystemi chodzić,
Płaszczyć się, schlebiać, bić pokłony niskie,
I na przekupstwa wkraczać ścieżki śliskie
I samym w błocie po kolana brodzić!
Sieć straszna, która jak zarazy, trądy,
Myśli nam kazi, i krzywi poglądy;
Sieć, która sięga do stopni ołtarza,
Modlitwy nasze i wiarę zakaża,
Psuje moralnie, upadla, ogłupia,
A która rośnie wciąż, jakby pleśń trupia
I pracę naszą tak ciężką, ponurą,
Piekłem prawdziwem robi i torturą,

I wątpić każe, kiedy z nagłą siłą
Wstecz rzucim okiem, że się coś zrobiło.

*
* *

I czyż wam jeszcze dziwić się należy,
Że szyderstw zgrzyty słychać śród młodzieży.
Wszakże szyderstwo, — jedną z naszych broni,
Która od zguby i zgnilizny chroni.
Ten tylko bowiem z przekonaniem szydzi,
Kto czemś się brzydzi, czegoś nienawidzi.
A lepiej może szydzić ze wszystkiego,
Niżli nie szydzić z podłego i złego!
Gdyż bądźcie pewni, że każdy szyderca
Ideał jakiś kryje w głębi serca,
I że, jak iskra w popiołach — w tem łonie
Które nienawiść pali, — miłość płonie,
A dziś nam obu, jak desek zbawienia,
Trzeba by chronić, nietylko istnienia,
Ale czci własnej, własnego sumienia.

*
* *

I wy pytacie: „Kto skrzydła zapału
„Podciął wam, młode orły i sokoły,
„Czemu, jak u nas za młodości szału
„Nie tryska w koło śmiechów dźwięk wesoły?“
O! ja się dziwię, że my tak żyjemy,
Że my się jeszcze choć czasem śmiejemy,
Kiedy za każdem drgnieniem naszych skrzydeł
Ranią nas klatek druty, więzy sideł,
Kiedy tak w koło dzieje się ohydnie,
Że nieraz ziemia i świat cały brzydnie,
I runąć bierze chęć do jakiejś głębi
Zdala od życia, co tak strasznie gnębi!...

*
* *

O! wy szczęśliwsi byliście za młodu,
Stokroć szczęśliwsi! wyście posiadali
Resztki przynajmniej świętych spraw narodu,
Które w rozbiorów ocalały fali.
Jeszcze wam świecił łuny blask zachodniej,
I nocy czarnej mogliście urągać,
Z przekleństwem dłonie ku wrogom wyciągać,
Świat cały wzywać na świadectwo zbrodni,

I przed historyi skarżyć trybunały,
By się wraz z wami oburzał świat cały!
A gdy wam bole serce rozpierały,
To nad mogiły ojczystej kurhanem,
Ze słodką lirą, tęsknym teorbanem,
Mogliście płakać, szukać ukojenia
W łzach, co są nieraz ulgą dla cierpienia,
I w snach o sławie dawnego istnienia. —
Ach! wyście mogli złudne mieć nadzieje,
Że wyzwolenia dzień już może bliski,
Że zorza szczęścia wkrótce zajaśnieje.
I tą nadzieją silni, wyście spiski
Knuli tajemne, aż nagłym wybuchem,
Gdyście wstrząsnęli niewoli łańcuchem,
To walcząc na śmierć z nadzieją rozpaczy,
Jak walczą słabi z falangą siłaczy,
Pięścią o kulę, a o bagnet nożem. —
Wyście umierać mogli!
— My nie możem!

Tak! my nie możem dziś, nie mamy prawa
Rycerską śmiercią od kuli i stali
Umierać, jaką wyście umierali.
Bo dziś inaczej stoi kraju sprawa.
Wyście bronili jeszcze praw narodu,
I jako naród biegliście na grodu
Zniszczone mury, by pierś swą nadstawić
By stu ofiarą tysiąc innych zbawić.
Ale nas wróg już osaczył tak szczelnie,
Że bronić musi każdy z nas oddzielnie
Swojego domu, swojego ogniska,
Uczuć i myśli, imienia, nazwiska.
Tak, że dziś każda polska pierś warownią,
Co sama musi świętej sprawie służyć,
Sama być strasznych walk i bitw widownią,
A której poddać niewolno, ni zburzyć!
A więc nie dla nas dziś zwodnicze błyski
Złudnych nadziei, co choć miłe duchom,
Lecz nad przepaści brzeg prowadzą ślizki,
Ku samobójczym skłaniając wybuchom!
Nie dla nas jęki, skargi, narzekania. —
To broń zabójcza! — i dziś tylko szkodzić
Może jęk każdy, co rany odsłania,
Wskazuje miejsce, gdzie wróg ma ugodzić.
I łzy nie dla nas, co ulgę przynoszą,
Lecz miękczą serca tych, czyją twarz roszą.

Nie dla nas nawet męczeństwa korona
Z waszego czoła, co krwią wyiskrzona,
U świata pomsty wołała dla zbrodni!
Dziś niema zbrodni. jest fakt dokonany.
My — niewolnicy, parjasi niegodni.
Co prawem pięści, siłą na kajdany
Skazani wieczne — wloką jarzmo twarde,
Nie litość budząc w świecie, ale wzgardę!

My stać musimy. jak na śliskiej skale
Stoi rozbitek, którego już fale
Zimnym pierścieniem objęły za szyję.
Fala wciąż wyżej rośnie, głośnie wyje,
A on nie może ni drgnąć, ni się ruszyć,
By nie wpaść w przepaść, gdzie wieczna zagłada
I krzyk rozpaczy musi w piersiach głuszyć,
By go rekinów nie spostrzegły stada,
I nie rozdarły żywcem w oka mgnienie.
My stać musimy, jakby na stracenie
Aż pod okopy wrogiego obozu
Wysłany hufiec, który mimo mrozu,
Mimo straszydeł i widm czarnej nocy,
Milcząc stać musi na swym posterunku,
Bez żadnej znikąd nadziei pomocy,
Ani nadziei ratunku!

Tak nam stać trzeba, i tak stać będziemy,
Jak głaz grobowy, jakby posąg niemy —
Stać jak marmuru lub granitu bryła,
Co znaczy miejsce, gdzie ojczyzna była.
Co na tem miejscu, gdzie stoi zostanie
Póki lub na nią nie runie mogiła,
Lub martwa nie zmartwychwstanie.

Tak dziś stoimy, lecz to nie jest wcale
Snu, albo śmierci nieruchome stanie.
Nie! wewnątrz bryły huczą czynów fale,
Pod maską z głazu, słychać życia drganie!
My dziś stoimy jak żyjątek roje,
Co gdzieś na morza dnie, pracą wiekową,
Przez niewidzialnych prawie trudów znoje,
Budują wielką ławę koralową,
Która z powodzi morskich fal wyziera
I morskie fale zwycięzko odpiera.
Więc naprzód bryła otrząśnie się z cieśni
Dawnych przesądów, nie tradycyj dawnych,

Potem z wad starych oczyści się pleśni,
Wad, co splamiły tyle dziejów sławnych.
A potem, zwolna będzie chłonąć w siebie
Każdy błysk słońca, lub gwiazdy na niebie,
Z powietrza każdą kroplę rosy marną,
Z ziemi pył każdy, każde piasku ziarno,
Aż wreszcie kiedyś bryła, pełna siły,
Powstanie z grobu kolumną Samsona,
Zdruzgocze wrogów, zerwie darń z mogiły
I wyzwolenia dokona.

Kiedy to będzie, my tego nie wiemy,
Lecz by tak było kiedyś — tego chcemy.
I w chęć tę zbrojni, bez żałosnych kwileń
Bez rozpaczliwych wybuchów, wysileń,
Z spieczoną wargą, z ściśniętemi zęby
Jak trzcina zgięci, lecz twardzi jak dęby,
Z dumnemi czoły, choć z zwisłemi głowy,
Jakby posępny orszak pogrzebowy,
Jakby skazańcy idziem drogą życia,
Głusząc i tłumiąc wszystkie serca bicia,
Idziem powoli, bez światła żadnego,
Żadnej nadziei — a idziem dla tego,
Że w naszych sercach młodych, w naszem łonie,
Jak słońce świeci, jak pochodnia płonie
To, co w niem nigdy nie zgaśnie, nie zgasło:
Miłości kraju nieśmiertelne hasło!

* * *

Więc się nie dziwcie, żeśmy zimni, biali,
Choć serca nasze krew młodości pali.
Więc się nie skarżcie, żeśmy obojętni,
Choć w sercach naszych tyle uczuć tętni.
Więc nie ciskajcie nam nigdy, o starzy!
Tej najstraszniejszej dla młodych potwarzy —
Ja was zaklinam, na słońce co świeci,
Na krew ran waszych, śnieg waszej siwizny,
Nie mówcie nigdy, że u waszych dzieci
Wygasła miłość ojczyzny!

Lecz dla tej części naszych młodych braci,
Co mając siły, w próżniactwie je traci,
Co zakochana w swej własnej osobie,
Ucztuje tylko na ojczyzny grobie,
A wspólnie nie chce pracować wraz z braty,

Co na gościniec zdrady chyłkiem zdąża,
Kosmopolitów przywdziewając szaty.
Miękkie, wygodne szaty — co pogrąża
Myśl w odrętwieniu, a w gnuśności ramię,
Dla tych, my także znajdziem hańby znamię,
Znajdziem przekleństwa groźbę piorunową,
I potępienia wiekuiste słowo!

* *

Ojcowie nasi! my z waszej spuścizny
Bierzemy dla się jeden klejnot drogi,
A tym klejnotem jest miłość ojczyzny,
Której nam nigdy nie odbiorą wrogi.

Ach! za ten klejnot, nasz skarb, nasz ratunek,
Który swym dzieciom wiernie przekażemy,
My wieczną miłość i wieczny szacunek
Wam, po wsze czasy, w ofierze dajemy!

Lecz my nie możem użyć już tej broni,
Z jaką wy szliście z wrogami w zapasy,
Które wam tylko złożyła na skroni
Męczeństwa wieniec!
Dziś już inne czasy!..

Wyście być chcieli gromem piorunowym,
Który więzienia jednym rzutem łamie —
My będziem kroplą, co ruchem miarowym
Wywierca otwór w ich bramie.

Wyście ojczyźnie składali daninę
Z porywów szału, z rozpaczy wybuchów,
Ze śmierci własnej, i swe ciało sine
Wieszali u jej łańcuchów!

My jej poświęcim każdą życia chwilę,
Każdy grosz wdowi przyniesiem jej w dani,
Póki w potędze nowej, nowej sile
Nie wstanie z grobów otchłani.

Wyście jak ognie byli, co iskr snopem,
Płomieni falą wybuchają jasno,
Lecz wichrem gnane, gdzieś pod niebios stropem
Blędną po chwili i gasną.

My będziem żarem bez iskr i płomienia,
Podziemnym żarem węgla kamiennego,
Co potężnieje od każdego tchnienia,
Od wiatru wzrośnie każdego!

I bronią naszą będzie bezpłomienny
Żar ten, co topi stal, rozsadza skały,
Żar pracy ciągłej, żar pracy niezmiennej
Powolnej, ale wytrwałej!

A jeśli kiedy błysną szczęścia zorze,
I przy tym żarze stopią się łańcuchy,
I prysną więzów piekielne obroże,
Co krępowały wolne polskie duchy, —

My wówczas tylko pragniemy jednego
Od tej najlepszej, najszczęśliwszej chwili:
Niech ci, co pierwsi do mety dobiegą,
Rzekną, że bronią tą dziś zwyciężyli.

Tą bronią więzy zerwali przemocy,
I rozproszyli precz niewoli cienie,
Którą wśród mroków najczarniejszej nocy
Zaczęło walczyć nasze pokolenie!

To cel nasz cały, jedyne marzenie!...